Nr. 8. — Poznań, Niedziela 18-go Lutego 1900. — Rok IV.

PRACA

Tygodnik illustrowany, ekonomiczno-społeczny i belletrystyczny.

Przedpłata w Poznaniu już z odnoszeniem tylko 1 markę na kwartał.

Redakcya i Administracya w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 295.

Przedpłata na pocztach w Niemczech tylko 1 markę kwartalnie. — W Austryi (pod opaską) 1 złr. czyli 1,70 mr.

Nadesłane 50 fen. od wiersza.

„Praca" zapisaną jest na poczcie w oddziale II, t. 86.
Pojedyńczy numer „Pracy" nabyć można za 15 fen. z przesyłką 20 fen.

Ogłoszenia zwykłe 20 fen. od wiersza.

Do apelu.

Jedno z naszych pism podało już wiadomość, że oczekiwać należy niebawem rozpisania wyborów w okręgu obornicko-poznańskim na mandat do sejmu, opróżniony wskutek rezygnacyi landrata p. Bartha, dymisyonowanego wskutek głosowania za kanałem.

Wiadomość tę z ukontentowaniem powitają wszyscy, którym pamiętne są wysiłki Polaków w ostatnich wyborach do sejmu. Ulegliśmy wtedy mniejszością jednego tylko głosu; mówiono ze strony polskiej o rozmaitych nieprawidliwościach, które wobec takiego stosunku sił obustronnych łatwo mogły oznaczać zwycięstwo po stronie Polaków, — do unieważnienia mandatu pana Bartha nie przyszło jednak.

Polacy zyskali wówczas jedno nieocenione przekonanie — świadomość sił własnych; niejeden może, co przy ostatnich wyborach wolał zostać w domu, myśląc sobie, że i tak Niemcowi mandatu nie wyrwiemy z ręki, pospieszyłby teraz do urny wyborczej, gdy jest pewien, że tylko o jeden jedyny głos chodzi.

O ile jednak zwycięstwo nasze w tych warunkach jest możliwem, o tyle też zależy ono od rozpoczętej w porę akcyi przedwyborczej. Niepotrzeba o tem chyba szeroko się rozwodzić, tembardziej, że komitetu wyborczego obecnego nie trzeba będzie do sprężystości i pracy zachęcać — będzie się on chyba poczuwał do obowiązku dania dowodów swej działalności i swych zdolności organizatorskich.

Hołdowaliśmy i hołdujemy wyrażonemu przez inicyatorów wiecą „generalnego" zdaniu, że praca polityczna nie powinna u nas ustawać właściwie nigdy: — że nie powinna ona być okolicznościową, z okazyi wyborów, lecz powinna odznaczać się ciągłością i konsekwencyą; nietylko więc podczas wyborów, ale i po za ich granicami powinna się snuć nieprzerwanem pasm,em nić pracy politycznej nad ludem powinno słowo żywe na zebraniach i wiecach iść w zawody ze słowem drukowanem, — a wtedy lud nasz zrozumiałby, że nie do wyborów, nie do uzyskania mandatu posłowi jest potrzebny, lecz że cel tej pracy leży zupełnie gdzieindziej, — że leży on w szerzeniu politycznej myśli i politycznego wykształcenia wśród ludu. A cel ten jest tak ważny, że rezultaty pracy przedwyborczej z tego punktu widzenia ocenione ważniejsze są nawet od samych wyborów; ba, nawet działalność posłów naszych w Berlinie w obecnych warunkach setnej części tych korzyści sprawie narodowej przynieść nie może, co ta właśnie praca przedwyborcza, praca na wiecach i zebraniach.

I dlatego właśnie poruszamy już zawczasu tę sprawę, aby przypomnieć, że punkt ciężkości leży nie w uzyskaniu mandatu dla posła, lecz w samej pracy przedwyborczej, w werbowaniu sprawie naszej zwolenników między ludem, w organizowaniu ich w pewnym określonym kierunku. Ale ta myśl — choć wcale nie nowa i, zdawałoby się, naturalna — niedostatecznie jeszcze przenikła w warstwy naszych wyborców. Dotychczas jeszcze spotkać się można u prostego ludu ze zdaniem, że „wyborcy potrzebni są tylko wtedy, gdy mają posłowi pomódz do zdobycia mandatu". Zdanie to, świadczące o zupełnie błędnem zrozumieniu potrzeb politycznych naszego społeczeństwa, sprostować można tylko w okresie agitacyi przedwyborczej. Aby jednak zdanie to zbić można skutecznie, należy dość wcześnie tę agitacyę rozpocząć, a nie wtedy, kiedy już mowa będzie o osobistościach kandytatów, kiedy i najspokojniejszych opanuje gorączka przedwyborcza, lub jednostronność poglądów, upatrująca ostatni cel dążeń i wysiłków w *osobie* pewnego kandydata.

Te wszystkie uwagi w zastosowaniu do warunków wyborów w Poznaniu nabierają tem większego znaczenia, — nietylko dlatego, że widzieliśmy tu już zaostrzone stosunki pomiędzy stronnictwami polskiemi; ale i dlatego, że Poznań najwięcej ma w swych murach i wśród swych wyborców ludzi tej klasy, na wykształceniu politycznem której najbardziej nam powinno zależeć — klasy średniej, dorabiającej się warstwy mieszczańskiej, która będzie z czasem dostarczać społeczeństwu inteligencyi.

Wykształcenie polityczne tej klasy, wpojenie w nią przekonania, że nie uzyskanie samego man datu poselskiego, ani wybór osoby danego kandydata, ale wciąganie jaknajszerszych warstw do życia narodowego i politycznego jest głównym celem zabiegów przedwyborczych, — to w pierwszym rzędzie powinniśmy mieć na oku

sfery, mające wydać hasło do agitacyi przedwyborczej i mające nią kierować; a do tego, powtarzamy, nie wystarczy na parę tygodni przed wyborami urządzić zebranie i wydać parę odezw; —- do tego trzeba pracy trochę głębiej pojętej, potrzeba głębszego zaorania....

A wreszcie Poznań ma przecież dawać prowincyi przykład, jak pracować należy, jak się organizować, jakie cele swym dążeniom zakreślać. Więc niechże teraz nasz Poznań zawodu nam nie sprawi! Niechże na wiecach przedwyborczych usłyszymy jędrne, zdrowe i niezależne poglądy ludzi z warstwy mieszczańsko-rzemieślniczej, niechże się przekonamy, jakie postępy czyni wśród nich kiełkująca myśl polityczna!

Nie obojętną też powinna być dla ogółu i osoba kandydata. Był nim w ostatnich wyborach cieszący się powszechną sympatyą mecenas Bernard Chrzanowski — i, nie wątpimy, tym razem też będzie. Jeśli się wszyscy stawią do apelu, nie zbraknie nam tego jednego głosu dla wprowadzenia do Koła Polskiego człowieka, który reprezentuje młodą patryotycznie myślącą Polskę i świeżość myśli politycznej, tak niezbędną w zmieniających się coraz to na gorsze warunkach naszego politycznego bytu.

Nie jesteśmy zwolennikami teoryi, że ta „młoda“ Polska i „stara“ Polska, jako dwa wrogie sobie prądy polityczne, powinny stanąć sobie oko w oko w walce o mandaty; oba te kierunki nawzajem się uzupełniają, oba są potrzebne, gdyż się przeciwważą i do *równowagi* prowadzą. Sądzimy więc, że tą właśnie drogą, drogą odbierania Niemcom mandatów i drogą głęboko pojętego krzewienia ducha narodowego dowieść powinna ta młoda, budząca się myśl polityczna, czem jest, i co zdolna zdziałać.

Nie wątpimy, że powyższe uwagi dopełnią swego przeznaczenia, bo Poznań nie zwykł się uchylać od pracy, gdy obowiązek nań woła: *Do Apelu!*

Vester.

Z pamiętnych chwil.*)

II.

Deputacya polska nie zadowolniwszy się ogólnikową odpowiedzią króla skomunikowała się z ministrem spraw wewnętrznych v. Auerswaldem i w końcu marca otrzymała z ministeryum odpowiedź, że w celu przyspieszenia przyobiecanej przez króla reorganizacyi narodowej wyznaczono już komisarza, którym mianowany został generał-major v. Willisen, jak niemniej, że królewski rząd, mając pełną ufność, że reorganizacya nie będzie wyzyskaną na szkodę niemieckich współobywateli Księstwa, godzi się na wybór członków komisyi, bez względu na ich narodowość.

Otrzymawszy taką odpowiedź, deputacya poznańska mogła mieć zupełnie uprawnione przekonanie, że z zadania swego zupełnie się wywiązała. W istocie rząd napozór na całej linii się cofał. Instrukcya, jaką dostał na wyjezdnem do Poznania generał Willisen jest pod tym względem bardzo charakterystyczna.

Ministeryum stanu pisze w instrukcyi swej z dnia 3 kwietnia 1848 roku: „Zgodnie z najwyższym rozkazem z dnia 24 marca został Pan mianowany królewskim komisarzem i przewodniczącym komisyi, której powierzonem jest wypracowanie i przedłożenie projektu reorganizacyi Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Niech Pan się zatem niezwłocznie uda do Poznania, aby z rąk naczelnego prezesa v. Beurmana, który na własne życzenie zwolniony został od obowiązku przewodniczenia komisyi, przejąć załatwienie spraw bieżących. Znane panu są zasady, na jakich opierać się ma zamierzona reorganizacya: król sądzi, że pierwszym warunkiem potemu ma być wprowadzenie na nowo porządku prawnego i zakłóconego niejednokrotnie spokoju publicznego; dopiero dokonanie tego zadania doprowadzić może do szczęśliwego załatwienia całej sprawy. Zalecamy zatem Panu, abyś się usilnie starał o dokonanie tego najnieodzowniejszego warunku; o ileby Pańskim pojednawczym zamiarom stawiano przeszkody, władze prowincyonalne dadzą Panu możność zastosowania najsilniejszych środków potemu. Jednakowoż upoważniamy Pana do zapewnienia, że o ile ten wspomniany warunek wypełniony zostanie — nie będzie nic stało temu na przeszkodzie:

1) Aby na czele władz administracyjnych stanął obywatel narodowości polskiej.

2) Aby urzędy sądownicze i administracyjne zreformowano w celu dania każdemu mieszkańcowi prowincyi możności komunikowania się z temi władzami w jego rodowitym języku.

3) Aby radcy ziemiańscy (landraci) mogli otrzymywać urząd swój na mocy wyborów, w których udział przypadłby gminom miejskim i wiejskim.

4) Aby policyę w miastach i po wsiach zreformowano, o ile się da, zgodnie z życzeniami ludności, a obok tego, aby zorganizowana była obywatelska straż bezpieczeństwa.

5) Aby wszelkie wnioski i projekty co do reorganizacyi wojska były poddane szczegółowej ocenie, jakkolwiek istniejące dotychczas pospolite ruszenie (landwera) jest właściwie formą uzbrojenia narodowego.

6) Aby wszelkie wprowadzane zmiany nie naruszały praw ludności niemieckiej i w zupełności je uwzględniały.

Napotka Pan tę wyjątkową trudność, że większa część ludności niemieckiej Księstwa Poznańskiego nie sprzyja reorganizacyi, jako rzekomo podjętej w duchu polskim. Mamy nadzieję, że uda się Panu wzbudzić w ludności tej przekonanie, iż prawa jej w niczem naruszone nie będą a narodowość niemiecka w równym stopniu ma być przedmiotem opieki ze strony rządu, jak i polska.“

Z taką interwencyą jechał Willisen do Poznania. Jak widzimy, była ona w zupełniej zgodzie z odpowiedzią, którą otrzymała deputacya polska z kancelaryi królewskiej. Czy więc była szczerym wyrazem zapatrywań rządu w danej chwili? Czy można mniemać, że rząd istotnie miał zamiar przyrzeczeń swych dotrzymać?

Przyjęciu deputacyi poznańskiej przez króla poświęciliśmy nieco więcej miejsca z tego względu, gdyż oświetla ona wybornie sytuacyę rządu. Sam przebieg audencyi wydobył na jaw i pogłębił raczej wzajemną ufność rządu i Polaków, niż zbudował mosty dla porozumienia się. A jednak rząd ustąpił, przynajmniej pozornie. Dlaczego? Wspomnienia marcowych wypadków w Berlinie były za świeże, mówcy polscy występowali za ostro. Rząd wnioskować z tego musiał, że czuli się silnymi.

Zresztą mieli po swej stronie sympatye społeczeństwa niemieckiego, tego samego, które rządowi w owej chwili dyktowało warunki. Rząd nie czuł się pewnym — i dlatego król ustnie deputacyi nic nie przyrzekł, niczego nie odmówił. Na radzie koronnej, która się po audencyi ad hoc odbyła trudno było znaleść sposób wyjścia. — Odmówić?

Rewolucya w Poznańskiem pewna,— rewolucya, która istotnie mogła nastręczyć Rosyi sposobność do zawładnięcia Księstwem. Byłoby ono dla Prus, osłabionych wewnętrznemi kataklizmami,

*) Przedruk dozwolony tylko za podaniem „Pracy“ jako źródła.

bezpowrotnie stracone. Wspominał o tem król na audencyi. Trzeba więc było rewolucyą zażegnać. Ale jak? — siłą? — Minister wojny bardzo musiał kiwać głową, gdy się oczy współkolegów z rady koronnej zwróciły na niego przy tem pytaniu. Wojsko pruskie nie było skonsygnowane, wybuch rewolucyi zaskoczyłby wojsko zupełnie nieprzygotowane. To było jasnem, że jeśli deputacya powróci do Poznania z odmowną odpowiedzią, a wraz z nią i wypuszczeni z Moabitu spiskowcy, tem samem hasło rewolucyi w Poznańskiem jest dane. Gdyby nie Berlin, co zerwał się z wędzidła, byłby łatwy środek: uwięzić deputacyą, przetrzymać ją. Ale upomniałby się o nią tłum, a król miał się sposobność przekonać, że tłum nie żartował wówczas. Więc cóż pozostawało? Przedewszystkiem: zyskać na czasie, to jest, zaakceptować warunki, które dyktowała deputacya. Powtóre zabezpieczyć się przeciw możliwemu wtargnięciu wojsk rosyjskich w ten sposób, aby z wojowniczego usposobienia Polaków skorzystać i w razie istotnego niebezpieczeństwa skierować je przeciw Rosyi.

Takie refleksye musiały dyktować radzie koronnej przyjęcie warunków deputacyi polskiej i zanim jeszcze nawet w Poznaniu znane były słowa królewskie o „błagalnych prośbach skierowanych ku cesarzowi rosyjskiemu, aby nie kazał wojskom swym zajmować Księstwa“, — na Alexanderplacu w Berlinie policyanci z polecenia prezesa policyi Minutolego rozdawali broń studentom Polakom, którzy tworzyli rodzaj przybocznej gwardyi wypuszczonych z Moabitu więźniów, w pierwszej linii Mierosławskiego, a rozdawali ją ze słowami: „Idźcie bronić kraju przed najazdem Rosyi.“

Generał Willisen przed wyjazdem do Poznania dwukrotnie konferował z Mierosławskim, który jako kooptowany członek deputacyi obecnym był na naradach deputacyi z ministrami. Z konferencyi tych z Willisenem wyniósł Mierosławski wrażenie, że „rząd wprawdzie nie może być pomocnym w utworzeniu siły niezawisłej przeciw Rosyi, ale radby jej utworzenie się widział, gdyby sama z siebie wzrosła i potem — *jako fait accompli* — istniała“. Willisen poufnie dał do zrozumienia Mierosławskiemu, że rząd rad będzie, jeśli wzburzenie umysłów w Poznańskiem do tego celu t. j. do walki przeciw Rosyi skierowanem zostanie.

Pod wpływem konferencyi z Willisenem Mirosławski zaraz się udał do Poznania, aby się zająć utworzeniem i zorganizowaniem polskich sił zbrojnych, będąc przez Willisena upewnionym, że akcya ta — o ile po za plecami rządu przeprowadzoną zostanie, ze strony władz pruskich przeszkód nie dozna.

I tak się stało istotnie. Na gromadzenie się polskich sił zbrojnych władze patrzały przez szpary.

Idąc za przykładem Berlina i lokalne władze w Księstwie zachowywały się biernie wobec przygotowującego się ruchu.

Entuzyazm ogarnął tłumy, gdy bezradność władz pruskich i cofanie się rządu na całej linii — stały się jawne. To się spodziewano wojny z Rosyą, to wierzono święcie w zwycięstwo osiągnięte bez rozlewu krwi. Prosty lud chciał się bić, dowódcy wstrzymywali, bo jakże się bić z przeciwnikiem, który zgadza się na wszystko?

A rząd tymczasem czekał... Spływały cenne dni jeden po drugim, rząd czekał, śledząc przebieg wypadków, które miały go wybawić z niewygodnego położenia.

I nie omyliła go rachuba.

Dr. R.

Z TYGODNIA.

Ślązka „*Neisser Zeitung*“ doniosła niedawno, że naczelny prezes Księstwa, p. Bitter uzyskał w Berlinie pozwolenie na osiedlenie 40 tysięcy robotników rolnych zakordonowych na stałe. Wieść ta, w lot podchwycona przez wszystkie gazety, została przez prasę hakatystyczną ochrzcona nazwą cofania się przed falą polskiego zalewu. A tymczasem sami Niemcy nie tają niebezpieczeństwa, jakie zagrażałoby rolnictwu w Poznańskiem, gdyby rząd rosyjski zabronił robotnikom przechodzenia do Prus na czas kampanii letniej. Nie wątpimy, że szkody, jakie Bismark zadał swego czasu rolnictwu w Poznańskiem przez wydalenie 40 tysięcy Polaków, nie dadzą się w inny sposób naprawić, jak tylko przez dopuszczenie na stały pobyt odpowiedniej liczby ludności roboczej. Dodamy nawet, że jeśli rząd pruski chce w porę swe rozporządzenie wydać, powinien się spieszyć, bo gdy ze strony rosyjskiego sąsiada klamka zapadnie i „święty Boże nie pomoże“ w Petersburgu.

O ile dopuszczenie robotników Polaków na stały pobyt byłoby tylko aktem sprawiedliwości wobec zagrożonego rolnictwa, o tyle też aktem sprawiedliwości byłoby uwzględnienie potrzeb naszej prowincyi w nowym projekcie kanałowym. Znajdujemy w nim wprawdzie wzmianki dotyczące rzek naszych: Warty, Noteci i Brdy, ale najważniejsza sprawa, sprawa spławności Warty aż do Poznania znów pominiętą została przez wielce łaskawy rząd królewski pruski, tak dbały! o rozwój naszej dzielnicy, jak to nam przecież codziennie piszą gazety niemieckie. W odnośnym projekcie czytamy, że zamiarem rządu jest koryta Warty, Noteci i Brdy, jako też kanał bydgoski przekształcić tak, aby berlinki o sile 400 do 500 tonn mogły z Renu do Wisły przepływać. A o spławności Warty do Poznania nic! Dziwna to rzecz doprawdy, że kanały się chce rządowi budować tam właśnie, gdzie główne rzeki spławne i gęsta sieć kolejowa ułatwia ruch, a u nas, gdzie spławnych rzek niema i koleje niezbyt gęste, wszystko od lat szeregu poddane jest „pod rozwagę“. Również i o kanale Obry od rzeki Odry przez Zbąszyń i Międzyrzecz przyrzeka rząd „pomyśleć“. A tymczasem nasz handel i przemysł dotkliwe ponosi straty z tego powodu, że panowie ministrowie zawiele czasu potrzebują do namysłu. Jednak by prawdę powiedzieć, to zapewne decyzya by się łatwo znalazła, ale zkądże brać pieniędzy, jeśli skarb wyczerpany ma być budową okrętów? *Czterech miliardów marek* zachciało się rządowi na wybudowanie nowych okrętów. Tyle pieniędzy będzie potrzeba, zanim powiększy się marynarka niemiecka o 40 nowych żądanych okrętów! Państwo niemieckie liczy 50 milionów ludności, zatem przypada na głowę po 80 marek, zanim uzbiera się tak olbrzymia suma. Ponieważ jednak przy podatku dochodowym najuboższe klasy nic nie płacą, zamożniejsze warstwy będą musiały złożyć po 100 i więcej marek od głowy w razie, gdyby sumę tę zbierać miano zapomocą dochodowego podatku. Ale junkrom pruskim nie w smak byłyby tak wysokie podatki i z tego powodu noszą się oni z projektem pokrycia kosztów tych zapomocą podatków pośrednich t. j. konsumcyjnych. Podatki pośrednie — są podatki na cukier, sól, naftę, piwo i spirytus. Jest to w gruncie rzeczy bardzo niesprawiedliwy podatek, ponieważ dotyka wyłącznie prawie klasy ubogie, a bogacz Rotszyld tyleż płaci podatku za sól, co i ubogi wyrobnik, bo po jednakowej ją cenie kupują. W razie podwyższenia istniejących podatków pośrednich lub nałożenia nowych na przedmioty dotychczas nieopodatkowane, jak naprzykład kawę, płótno i t. p. koszta wystawienia nowych okrętów płaciliby w istocie biedni ludzie, a cały projekt marynarkowy oznaczałby niesłychaną drożyznę. W jaki sposób chce pokryć wydatek na okręty rząd, nic dotąd nie wiadomo.

Położenie polityczne w Chinach nie musi być tak bardzo poważne, ponieważ

w tych dniach powraca do Niemiec wysłany przed paru laty z flotą wojenną książę Henryk pruski, któremu powierzył cesarz czuwanie nad pruskiemi interesami na dalekim wschodzie. Księcia zamianował cesarz austryacki admirałem swej floty. — Pomimo, że powrót ks. Henryka do Europy uspokajająco powinien działać na opinię publiczną co do spraw chińskich, rozeszła się niedawno pogłoska o zamordowaniu cesarza chińskiego. Pogłoska ta wprawdzie utrzymuje się uparcie dotychczas, w pewnych kołach jednak sądzą, że puszczona ona została naumyślnie przez Anglików, którym się bardzo niewiedzie w Afryce, jeszcze gorzej w Indyach, i którzyby w ten sposób chcieli odwrócić uwagę i siły Rosyi od Indyi ku Chinom. Dzienniki angielskie donoszą z Afryki, że „położenie niezmienione“ t. j. Anglicy przychodzą do siebie po cięgach, jakie im sprawił generał Joubert. Natomiast generał Buller poprzysiągł sobie podobno, że nie da wiadomości o sobie wcześniej, zanim nie oswobodzi Ladysmith. Imponuje taka stanowczość Anglikom. Dobrzeby zrobił generał Buller, gdyby sobie zawiązał na chusteczce supełek, że ma oswobodzić Ladysmith, bo gotów zapomnieć o tem wobec ciągłych porażek.

We Francyi rozpoczęła się walka rządu z zakonami katolickiemi, rozpoczęta procesem zakonu Assumcyonistów. Przewidują powszechnie, że rząd naumyślnie wdaje się w walkę kulturną, aby zdobyć sobie poparcie socyalistów i wrogich katolicyzmowi stronnictw. Jak na czas wystawy paryskiej — bardzo ta walka przychodzi nie w porę. *K. O.*

PRZEGLĄD PRASY.

Niedawno temu „Dzien. Pozn.“ ogłosił, że urzędnicy administracyjni otrzymali świeżo nakaz z góry, aby ściślej kontrolowali działalność naszych towarzystw. Z powodu tego komunikatu pisze **„Gazeta Gdańska“**:

„Niejednemu z czytających — podszytemu strachem — lękającemu się może własnego cienia — mianowicie, jeżeli sam systematycznie stroni od wszelkiej pracy społecznej — z pewnością włosy na głowie powstały — i gotów się ukryć w myszą dziurę — aby nie zobaczyć czasem na własne oczy policyjnego stróża wydelegowanego do czuwania nad nami.

„Ale — nas — weteranów w pracy społecznej — tego rodzaju alarmy już nie wystraszą. Wiemy to aż nazbyt dobrze, że w państwie pruskiem nietylko wszelkie towarzystwa, ale każdy obywatel — jako tako odznaczający się majątkiem, inteligencyą, stanowiskiem lub wpływem w powiecie — zawsze był i jest — że tak powiem — pod „życzliwym“ dozorem policyi. Co rok referuje się do odnośnych wyższych władz o jego usposobieniu politycznem i o ważniejszych czynnościach i sprawach. Wyjątku nie stanowią nawet urzędnicy państwowi — np. landraci i członkowie wydziałów powiatowych. Przecież żyjemy w państwie na wskroś policyjnem, otaczającem opieką swoją wszelkie objawy życia narodowego.

„Naturalnie — że duchowieństwo — a mianowicie kaznodzieje odpustowi — szczególną się cieszą troskliwością tajnej policyi politycznej.

„Nawet prywatne zjazdy towarzyskie bywają skwapliwie notowane — w braku interesowniejszego materyału.

„Piszący te słowa czytał przypadkowo referat o swojej osobie — był nawet raz w życiu przez przyjaciela z ław szkolnych dokładnie poinformowanym o całej zwyczajnej i nadzwyczajnej procedurze nadzoru politycznego; — co więcej, na własne oczy widział list własnoręczny zmarłego księcia Bismarcka — pisany do urzędniczka małomiejskiego w sprawie „nadzoru“ — który to list ów zaufany powiernik wielkiego kanclerza pokazał w pijanym stanie na dowód, że on „więcej znaczy od pana landrata“. Na tej „organizacyi policyjnej“ opierał swój wpływ książę Bismarck, na tym wzorze wykształciła się Hakata i wszelkie te „rady poboczne, które dużo kłopotu sprawiały następcom wielkiego kanclerza.“

My się żadnej kontroli politycznej nie potrzebujemy obawiać, pracę naszą bowiem nad rozbudzeniem ducha narodowego opieramy na prawach zagwarantowanych przez konstytucyę, a system policyjnych „berychtów“ dużo nam wprawdzie krwi napsuć może i dużo szpilek na nas ściągnąć, nie powstrzyma to nas jednak wcale w dążeniu do raz obranego celu — obrony narodowości przed napaścią wydzierców.

A jak w życiu prywatnem nie zaszkodzi nam system donoszenia, tak i w szkole nie zaszkodzi młodemu pokoleniu wprowadzenie polityki. Dzięki Bogu, są jeszcze matki Polki, które dzieciom swym wpajają uczucie patryotyzmu w serca, uczucie, które zawsze wytrzyma próbę z rozmaitemi usiłowaniami wprowadzenia polityki do szkoły. Usiłowań takich nowy przykład widzieliśmy niedawno w przemówieniu niejakiego pana Dreschlera w szkole realnej w Bytomiu. Pisze o tem **„Dziennik Śląski“** co następuje:

„W dniu urodzin cesarza Wilhelma II wygłosił w bytomskiej szkole realnej nauczyciel p. dr. Drechsler, członek zarządu „Kriegerfereinu“, do szkolarzy, ich rodziców i kilku radnych i członków magistratu jako zaproszonych gości na sali ratuszu mowę, w której opowiadał wiele o konieczności wielkiej floty i życzył, aby usiłowania cesarza co do powiększenia floty się spełniły.

„Gdyby p. dr. Drechsler był taką mowę wygłosił w „Kriegerferajnie“, toby się nie można dziwić, bo w „Kriegerferajnach“ w ostatnim czasie uprawiają politykę. Ponieważ jednak prawił przed szkolarzami, więc można się temu dziwić, gdyż to jest wprowadzaniem polityki do szkół. Szkolarze o politykę nie powinni się troszczyć, lecz uczyć się, aby później mogli na chleb zarabiać. Podług naszego też zdania, powinien był p. dr. Dreschler pamiętać o tem, iż młodocianych umysłów nie należy takiemi sprawami zajmować, choćby najmniejszą polityką, bo to niejednego głowę może rozpalić niepotrzebnie“.

Podczas, gdy tak na Śląsku propaguje pan Drechsler sympatye ku flocie wojennej, w nieco odmienny sposób, również skuteczny, stara się w młodocianych serduszkach obudzić sympatye ku Niemcom jakiś B a n d i t — nauczyciel (niech się p. Bandit nie gniewa, że go tak nazywamy, ale on się podobno naprawdę tak nazywa). O tym B a n d i c i e pisze **„Gazeta Grudziądzka“**:

W wiosce Nowej Swiętej w powiecie złotowskim dał ewangelicki nauczyciel Bandit (nomen — omen) nową próbę tak zwanej „wyższości kultury niemieckiej“. Katował bowiem trzynastoletniego chłopca, syna gospodarza Józefa Piszczka z Wybudowni za to, że ten na jego wezwanie, żeby się Pischka odzywał, zawsze odpowiadał Piszczek. Jak dzieci opowiadały, kazał wspomniany nauczyciel chłopcu się nachylić, i gdy na zapytanie jego: „Wie heist du?“ odebrał odpowiedź: „Johann Piszczek“ trzcinką go po plecach 10 do 15 razy uderzył; a zapytań takich miało być kilka, na końcu chłopiec, który podobno w niebogłosy krzyczał, nic już nie odpowiadał. Oględziny lekarskie wykazały, że całe plecy były sine i krwią nabiegłe. Rodzice ukaranego chłopca podali zażalenie do rejencyi; (to za mało trzeba natychmiast oddać prokuratorowi). Takie przekręcanie nazwiska w okolicy — a przedewszystkiem w szkołach — jest na porządku dziennym. Tak n. p. zamiast Wrzeszcz piszą Wrischka, zamiast Kulasek, Kulans, Król, Kroll, Guz, Guhs itd.

„Nie czyń tego drugiemu, co tobie nie miłe“ mówi przysłowie, więc i pan Bandit powinien przedewszystkiem uszanować nazwiska obce, bo cóżby on powiedział na to, gdyby spolszczywszy jego własne nazwisko, zechcieli go wszyscy nazywać „Bandytą“ przez wielkie B?!

Rodzice zaś powinni stanowczo zaprotestować przeciw takiemu przekręcaniu nazwisk w szkole, powinni osobiście udać się do nauczyciela i prosić go aby zaniechał tego. Gdy to nie poskutkuje, należy wysłać zażalenie do inspektora szkolnego i rejencyi. Doradza przytem **„Wielkopolanin“**:

„Dobrze byłoby też, aby dla posłów naszych zebrano odpowiedni, na ścisłych dowodach oparty materyał.

„Z tego przekręcenia, przeciwko któremu trzeba nam występować z całą energią ze względów narodowych i ze względów nawet dumy rodzicielskiej, wyniknąć mogą nieobliczone szkody w sprawach spadkowych lub w czynnościach urzędowych z władzami. Niechaj rodzice takich spraw nie spuszczają z oka.

„Co zaś do zachowania się pana Bandita nie mamy słów dostatecznych na wyrażenie naszego wstrętu dla takiego wychowawcy i „krzewiciela kultury“.

„Tego rodzaju znęcanie się nad dziatwą, należy bezwzględnie potępić, tem bardziej zaś to znęcanie się jest potępie-



nia godnem, że nastąpiło jedynie z tej przyczyny, że dziecko wymawiało polskie poczciwe nazwisko rodziców tak, jak je wymawiać należy.

„Panowie ministrowie twierdzili nie dawno temu, że prasa polska podnieca wstręt do wszystkiego, co niemieckie.

„Czyż ta prasa polska potrzebuje podniecać wstręt, do wszystkiego co niemieckie?

„Wystarczy przecież podanie takiego faktu, aby obudzić u wszystkich uczciwych ludzi wstręt i oburzenie.“ *B. M.*

Piosnka siewacza.

(Do illustracyi.)

Chodzę sobie po ugorze
Słońca żar nademną,
Rzucam ziarno w imię Boże
Na tę ziemię ciemną.
Chodzę sobie, przyśpiewuję
Piosnki smutne, hoże —
Może Pan Bóg się zmiłuje,
Że wyrośnie zboże!

Rzucam w ziemię złote ziarno
Pełne, zdrowe, czyste,
Lecz niestety w ziemię marną,
W skiby opoczyste!
Jeśli nie da rosy, Panie,
Dłoń twa wszechmogąca —
Cóż się z moją siejbą stanie?
Uschnie od gorąca!

Może bławat i kąkole
Zamiast żyta wzrosną,
A ja próżno na to pole
Ziarno rzucam z wiosną!
Bo kąkole i bławaty
Raźniej rosną zawdy —
Tak jak lube kłamstwa kwiaty
Po nad zboże prawdy.

Może sąsiad zły popsuje
Moję zmudną pracę,
A ja próżno tu pracuję
I czas próżno tracę!
Może -- może — lecz któż zdoła
Zło przewidzieć jasno?
Może Bóg te moje zioła
Wolą zniszczy własną?!

Ha! Jeżeli źle ja sieję —
Albo złe to ziarno,
Weź odrazu mi nadzieję
Co ją pieszczę marno!
Gniewem swoim spal to zboże,
Ogniem zniszcz to pole —
Niżby miały — Wielki Boże —
Wyrosnąć kąkole!

Ale Boże, w twej opiece
Ludzki los spoczywa,
Więc z nadzieją ziarno miecę,
A serce mi śpiewa:
Oj wyrośnie ziarno moje,
Świat zadziwi wszystek,
Będzie chwalić imię twoje
Ludziom da pożytek!

A więc chodzę po ugorze,
Słońca żar nademną
Rzucam ziarno w imię Boże
Na tę ziemię ciemną.
Chodzę sobie — przyśpiewuję
Piosnki smutne, hoże —
Może Pan Bóg się zmiłuje,
Że wyrośnie zboże!

Bolesław Czerwieński.

Z ojczystych stron.

XLII.

Wronki.

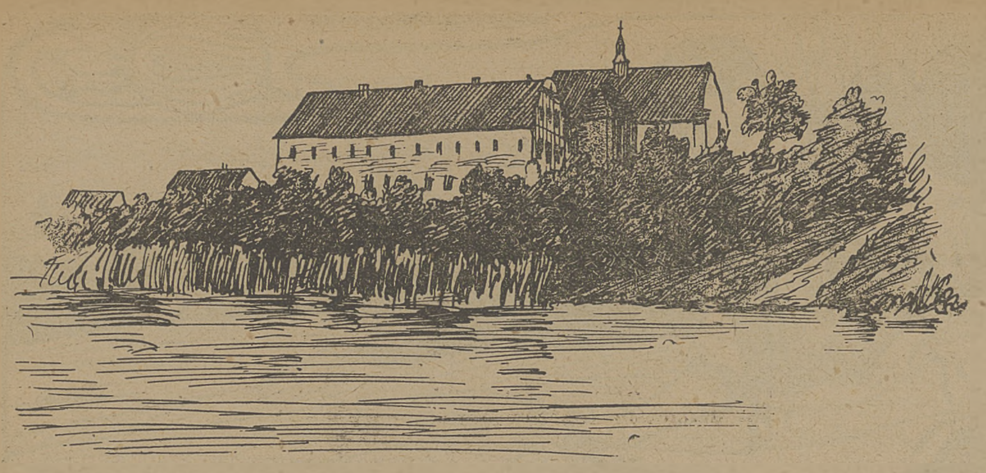
„Puśćmy synu się po kraju
„Na te sioła i dziedziny
„I poczyńmy oględziny“.....

Wronki, dawniej Wronik, były już w 13 stuleciu miastem, o początku jednak tej miejscowości bliższych wiadomości nie ma. Znaleziono przed kilku laty w synagodze dokument, spisany w języku hebrajskim, wykazuje, że prastary ten budynek, o niezwykle grubych murach, został zbudowany już w r. 933. Jest to najlepszym dowodem, że Wronki wówczas już istniały, i że gmina żydowska bardzo tam musiała być liczną. Dokument ten brzmi w tłomaczeniu jak następuje: „Na wieczną pamiątkę ogłaszamy, że ta świątynia została zbudowaną w roku: cztery tysiące sześćset dziewięćdziesiątym trzecim po stworzeniu świata“. Aż do roku 1884 spłacali żydzi rozmaite długi kościołom katolickim, i to kościołowi w Wronkach, Bydgoszczy, Czarnkowie, Biezdrowie, Zajączkowie i t. d. Obecnie posiada gmina żydowska jeszcze dwa cmentarze, a na jednym z nich znajdują się pomniki, przeszło 300 lat stare i dosyć dobrze zachowane.

W starych dzielnicach Poznania i Krakowa są ulice Wronieckie, a w dwóch dokumentach miasta Przemyśla, z r. 1279 i z r. 1280, jest wzmianka o Wronkach. W dokumentach tych jest zaznaczonem, że Dominikanom w Wronkach darowano ziemię na wybudowanie klasztoru. Katolicki kościół istniał tu już w r. 1298. Dominikanie byli pierwszymi, którzy do miasta sprowadzili kolonistów niemieckich, i wtedy otrzymało miasto prawo magdeburskie. Na połowie 15 stulecia musiały być Wronki dosyć dużem miastem, w razie bowiem wojny miało obowiązek dostawienia 10 zbrojnych żołnierzy.

Około r. 1500 rościli sobie Górkowie prawo do posiadania Wronek, i otrzymali je też wraz z majątkiem Nowawieś od króla Zygmunta Starego. Na początku 17 stulecia opuścili Dominikanie Wronki i przenieśli się do Poznania, później jednak wrócili znowu i pozostali tu aż do r. 1836.

Jan Czarnkowski, kasztelan międzyrzecki, nadał piwowarom we Wronkach w r. 1606 rozmaite przywileje, król Władysław IV. pozwolił mieszczanom w r. 1648 odprawiać targi i jarmarki, a Jan Korzbach Ządzki, starosta i wojewoda, dziedzic Wronek i Krucza, nadał miastu w r. 1662 przywilej „wolnego pastwiska dla bydła i wrębu w lesie na wieczne czasy“. Piwowarzy mogli brać tyle, ile chcieli, bukowego drzewa do warzenia



Klasztor we Wronkach.

słodu, miasto samo zaś otrzymało prawo pobierania „dyszlowego“ i „mostowego“. Burmistrzów obierano co rok, po wysłuchaniu mszy świętej, dziedzic zaś potwierdził wybór ten natychmiast. Pierwszą czynnością burmistrza było potwierdzenie tego dnia również wybranych radnych miasta.

W 17 stuleciu zawiązało się w Wronkach bractwo strzeleckie. Król Władysław IV nadał bractwu temu najrozmaitsze prawa i przywileje, a pomnożył je i uregulował późniejszy dziedzic, August Koźmiński, w r. 1793. Każdy król kurkowy n. p. otrzymywał z jego szkatuły 200 złp. Córka jego, Maryanna Dzieduszycka, przyjęła wszystkie te obowiązki i ustanowiła nawet fundusz, z którego pieniądze owe płacono. Trwało to aż do roku 1852, potem odmówił rząd pruski bractwu wszelkich przywileji. W r. 1768 i 1822 nawiedziły straszne pożary miasto, które wskutek tego tak podupadło, że przy końcu 18 stulecia było już tylko 1,368 mieszkańców. Apteka znajdowała się w Wronkach, dochód miasta wynosił 58 tal., rozchód zaś 26 tal.

W r. 1868 osiedlili się tutaj Franciszkanie; wyrestaurowali kościół, stojący nad Wartą i wybudowali nowy klasztor, ale rząd zniósł zakon ich w roku 1875 i zakonników wypędził.

W przeszłem stuleciu miały Wronki wodociągi, ponieważ jednak źródła leżą niżej, niż rynek, do którego drewnianemi rurami wodę sprowadzano, przeto urządzenie to sprawiało wiele trudności i wodociągi zostały skasowane. Często jeszcze znajdują ludzie, mianowicie przy kopaniu studni lub przy stawianiu fundamentów, resztki owych rur drewnianych.

Wronki są dziś ładnem, małem miasteczkiem, liczącem 4358 mieszkańców, przeważnie Polaków i katolików. Lud okoliczny jest także rdzennie polskim, a handel i przemysł w polskich rękach wzmaga się i rośnie z dniem każdym nieomal. W r. 1886 powstała tu mączkarnia i fabryka syropu Kwileckiego i Potockiego, co się bardzo przyczyniło do podniesienia dobrobytu robotników. Później założyła ta sama firma mleczarnią, która także doskonale prosperuje.

W r. 1894 wybudowano tu centralne więzienie, największe w tym rodzaju w całych Niemczech. Jest to odrębne dla siebie państwo, zwykle bowiem znajduje się w niem 800—1000 więźniów, zajętych najrozmaitszemi pracami dla zamiejscowych wielkich firm kupieckich. Obok dwóch księży, katolickiego i ewangelickiego, jest dla więźni młodocianych nauczyciel i nauczycielka, którzy kształcą ich i starają się naprowadzić zbłądzonych na drogę uczciwości i obowiązku.

Przed trzema laty powiększyły się Wronki o 180 mieszkańców, przyłączono bowiem do miasta gminę Zamoście. Wieś ta, położona na prawym brzegu Warty tworzy teraz wraz z dawniejszemi posiadłościami miejskiemi „przedmieście Wronek.“ *Kronikarz „Pracy“.*

Sieroctwo matki Jagiellonów.*)

Malował Walery Eljasz Radzikowski.

(Do illustracyi albumowej.)

Płaczącem dziewczęciem jest Elżbieta, córka cesarza Albrechta II, króla czeskiego i węgierskiego, i królowej Elżbiety, jedynaczki cesarza Zygmunta. Młodocianą królewnę w trzecim roku życia odumarł ojciec, a w dwa lata potem matka, która w cztery miesiące po zgonie męża urodziła syna Władysława, nazwanego Pogrobowcem. Dzieci pozostały pod opieką stryja, cesarza Fryderyka III. Pod jego to ramieniem bądź w Neustadzie, bądź w Wiedniu rosły odtąd obie sierotki: dwuletni Władysław, oczekujący pełnoletności i sześcioletnia Elżbieta. Fryderyk III znanym był z łagodności, ale zarazem i z niedołęztwa. Ztąd też przy ówczesnym nieładzie panującym w Rzeszy i przy ciągłych zamieszkach domowych sierotom Albrechtowym, oddanym nadzorowi cudzemu, nie zawsze się dobrze działo.

*) Obraz ten wielki, z figurami naturalnej wielkości znajduje się w galeryi muzeum narodowego polskiego w Rapperswylu.



Więzienie centralne we Wronkach.

Opowiadano sobie, iż żyją w niedostatku i zaniedbaniu, co równie bolesnem było dla dzieci, jak i dla mieszkańców Wiednia, szczerze przywiązanych do nieboszczyka, ojca sierot. W przeciągu kilku lat doszły skargi na niedolę opuszczonych do tego stopnia, iż w chwili, kiedy Fryderyk udał się do Rzymu na koronacyą, nastąpiło w Wiedniu gwałtowne poruszenie ludu i szlachty okolicznej na korzyść sierót.

Użył tej sposobności do swoich ambitnych zamiarów potężny w owym czasie w Austryi Ulrych Eitzinger, w Bawaryi urodzony, dawny marszałek dworu Albrechta, chciwy władzy człowiek, którego widzimy na obrazie podtrzymującego prawą ręką Elżbietkę, i na nią wskazującego zebranej szlachcie i mieszczanom.

Zgromadził ich w kościele Karmelitów w Wiedniu ów Ulrych na naradę dla obmyślenia lepszej opieki nad królewiętami. Aby tem żywszą obudzić litość, wprowadził Elżbietkę w środek zebrania i temi słowy przemówił, jakto podaje współczesny sekretarz cesarza Fryderyka III, Eneasz Sylwiusz Piccolomini, późniejszy papież: „patrzcie na tę dziewicę dostojną! patrzcie i przekonajcie się, jak o nią dbają! Jestże jaka mieszczka, nie mówię już w tej stolicy, lecz w najlichszej mieścinie, którażby w takim stroju wyszła na miasto? Odzież na niej podarta, obuwie dziurawe, ledwie że głodu nie cierpi!“

Rozżalona królewna rzewnym wtórowała mu płaczem. Od łez i łkania nie można było dosłyszeć słów, któremi błagała zgromadzonych o pomoc dla siebie i dla brata. Działo się to w r. 1452.

Ulrych celu dopiął, zgromadzenie wyznaczyło sierotom opiekę pod jego przewodnictwem, co mu posłużyło do wichrzenia za słabych rządów Fryderyka III. W dwa lata później zgłosił się o rękę Elżbiety król polski, Kazimirz Jagiellończyk. Z rąk miejskich opiekunów odebrał poseł nasz narzeczoną, którą w Krakowie zaślubił Kazimirz na Wawelu. Znanym jest powszechnie szczęśliwe pożycie tej pary królewskiej, z której przyszło na świat pięć córek i sześciu synów. Najstarszy syn Władysław był królem Węgier i Czech, młodsi Aleksander, Olbracht i Zygmunt panowali po sobie na tronie polskim, Kazimierz uznanym został świętym, a najmłodszy Fryderyk był kardynałem. Elżbieta ich matka słynęła z mądrości i dobrego wychowania dzieci, ztąd ją nazwano Matką Jagiellonów.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

KRWAWY CHRZEST.

Powieść ze zdarzeń ostatnich w trzech częściach.

Napisał

J. Dzierzkowski.

(Ciąg dalszy.)

VII.

Szerzej nieco opisawszy Stanisława Wydrę, który nie jest urojonym ideałem, ale typem prawdziwym, jaki dziś łatwo spotka każdy, kto spotkać chce, wracamy do jego rozmowy z Konstancyą.

Już przestała mówić, a Stanisław stoi jeszcze z oczami w dół spuszczonemi, milczący. Wzruszenie wewnętrzne, jeżeli go doznawał, objawiało się tylko większym niż zwykle rumieńcem. Zdawało się zaprawdę, że cała krew mu uderzyła do głowy. Konstancya patrzyła na milczącego z wyrazem na pół pytającym, na pół lękliwym prawie!...

— Panie Stanisławie! — rzekła wreszcie głosem cichym.

Stanisław podniósł głowę, lecz oczy zostały spuszczone, jakby się obawiał spojrzeć na nią. I próbując uśmiechu, wyrzekł wreszcie:

— To są próżne groźby chciwego urzędnika moskiewskiego!... Mnie się zdaje, że się ich obawiać nie trzeba.

— Ja się nie boję! — odpowiedziała Konstancya, i oko jej zalśniło wyrazem, pełnym tej siły duszy, która się malowała na pięknej twarzy.

— Pan Stanisław mnie nauczył — dodała z uśmiechem słodkim, prawie zalotnym — że Polce bojaźń nie przystoi.

— Ja się też źle wyraziłem — odrzekł na to Stanisław. — Chciałem tylko powiedzieć, że groźby tego Moskala, w niczem ani pani ani jej ojcu strasznemi być nie mogą.

— On zdaje się nie wiedzieć!...

— Nic pewnego nie wie!... może się domyślać...

— Panie Stanisławie, nie zupełnie szczerze mówisz ze mną. Znamy wszyscy przecie, czem jest domysł, czem posądzenie tylko u Moskali!

— I w takim razie niebezpieczeństwo posądzenia nie może dotknąć pana rotmistrza, a tem mniej pani... Nasz sprawnik zanadto jest chciwy, i słusznie pani mu powiedziałaś, że to rzecz targu!... przed powabem znaczniejszej sumy zmięknie zmoskwiczony Niemiec. A w najgorszym razie posądzenia i domysły dadzą się zwrócić!...

— Rozumiem panie Stanisławie!... dadzą się zwrócić do pana... W chwili ostatecznej i mój dziadek i ja potrafimy dotrwać każdemu niebezpieczeństwu, i na ofiarę choćby z najszlachetniejszego uczucia pochodzącą, nie przystaniemy!...

— Tu nie może być mowa o ofiarach, ale o obowiązkach. Ja się albo źle tłomaczę dzisiaj, albo pani...

— Mnie nie rozumiesz!... chcesz powiedzieć panie Stanisławie... Przeciwnie!... ja powtarzam, że pan nie chcesz mnie zrozumieć.

— Gdy to mówiła, oczy Konstancyi zaiskrzyły się wyrazem szlachetnej otwartości.

— Nie traćmy czasu na słowa próżne, w błahą delikatność owinięte... Czy rozumiesz to panie Stanisławie?... on żąda mojej ręki!... Czy rozumiesz to panie Stanisławie?...

— To komedya!...

— Tragiczna to komedya!... Pan go nie słyszałeś, gdy mi powiedział, że mnie kocha!...

— On śmiałby! — zakrzyknął na to Stanisław i podniósł oczy roznamiętnione, aż mu żyły na szerokie czoło wybiegły.

— I pan myślisz, że ten człowiek cofnie się przed myślą, którą się raz zaprzątnął? On się nie cofnie przed żadną ostatecznością.

— Nie, panno Konstancyo!... on!... nigdy!...

— Nie będzie moim mężem!... ja to wiem najlepiej!... I dla tego chciałam z tobą pomówić, panie Stanisławie... twojej zasięgnąć rady!...

— Mojej rady?...

— A od kogoż lepszej spodziewać się mogę rady, jeżeli nie od ciebie, panie Stanisławie?...

Zatrzymała się chwilę i przystąpiwszy jeszcze bliżej do niego położyła rękę swą na ramieniu Stanisława, z wyrazem serdecznego, dziecinnego prawie zaufania.

— Czyliż nie od małego dziecka przyzwyczaiłam się twojej, panie Stanisławie, słuchać rady prawdziwej!... Ja nic nie zapomniałam!... nie!... odkąd małemu dziecku, sam małym jeszcze chłopczykiem podawałeś rękę, by pierwsze dziecinne prowadzić kroki...

— Panno Konstancyo! — zawołał Stanisław, i walcząc z uczuciem rozrzewnienia, przycisnął ręce do piersi swoich.

— Tyś, panie Stanisławie, ile razy przybyłeś ze szkół, uczył mnie pierwszy myśleć i czuć, przesuwając przed umysłem młodego dziewczęcia najbogatsze skarby, czerpane w cudnej poezyi naszej, i jeszcze cudniejszych dziejach naszej bohaterskiej przeszłości.

Konstancya mówiąc to, miała w oczach rozpłomienionych wyższym zapałem, łzy rozczulenia. I ujęła go za rękę.

Tego było zanadto dla Stanisława. Porwany szałem chwilowym ujął podaną rękę i przycisnął do ust swoich, lecz szał ten trwał chwilę tylko. Jakby przestraszony nawałem własnych uczuć, opuścił rękę i cofnął się parę kroków.

— Jeżeli jestem Polką!... mówiła dalej Konstancya z zwracającym zapałem — komuż to winna jestem, jeżeli nie tobie panie Stanisławie!... Jeżeli w tej piersi bije źródło uczuć szlachetnych, uczuć wyższych, tobie... tobie panie Stanisławie mam podziękować!

— Dosyć! dosyć, panno Konstancyo!

— Nie, panie Stanisławie, nie dosyć! I jak dawniej przychodziłam do ciebie z mojemi dziecinnemi myślami i uczuciami po radę, tak i dziś przychodzę w tej chwili ważnej i stanowczej do ciebie, panie Stanisławie... Czyż mi odmówisz rady.. i może ratunku?... jedynego ratunku!

— Nigdy! nigdy! — zawołał Stanisław, który nadaremnie walczył z zapałem, jaki go przejmował w tej chwili.

— Wierzę ci, panie Stanisławie, i dlatego powtarzam, ten człowiek, ten Moskal kocha mnie! czy słyszysz? kocha mnie. Nie byłabym kobietą, gdybym nie widziała w jego oczach... że... prawdę powiedział.

— Ja go zabiję! krzyknął Stanisław, nie mogąc się już dłużej powstrzymać.

— I innej nie masz rady? — rzekła Konstancya głosem dźwięcznym i donośnym i spojrzała oko w oko.

Nastało milczenie chwilowe. Konstancya widząc, jak okropnie zbladł Stanisław, mówiła dalej:

— On nie cofnie się przed żadnym występkiem, by dopiąć celu swego. I dziadka i ciebie zniszczy i sięgać będzie po moją rękę!

— Chyba — wyjęknął Stanisław, walcząc do ostatka z uczuciem, jakie w nim wrzało.

— Chyba, że ta ręka cudzym będzie przykuta pierścieniem!

Stanisław zadrżał okropnie. Straszna była bladość na jego twarzy.

— Jestże inna rada? — przemówiła Konstancya cichszym głosem i zadrżała także.

— Tak jest... tak, w samej rzeczy — odpowiedział Stanisław głosem równie cichym i jeszcze więcej drżącym — Pani masz słuszność — mówił dalej — Pani pójdziesz za mąż... pójdziesz za...

— Za?... — wyszepnęła Konstancya pytającym i ledwie dosłyszalnym głosem; spuściła oczy w ziemię i biała suknia drżała widocznie na wzruszonej piersi.

— Pan Artur... kuzyn pani... kocha panią... stara się już dawno o rękę panny Konstancyi... to możny pan z panów...

Kto? ten salonowiec bez głowy... i serca... ten dwustołkowy Polak, udający patryotę? i ty mnie to radzisz, panie Stanisławie?

— Ja nie radzę!... nie radzę... ale...

— Więc ty mnie nie kochasz Stanisławie!? — zawołała Konstancya z wyrazem niewymownej czułości.

— Śliczną była w tej chwili Konstancya, śliczna urokiem uczucia, zapału i energii. Uczuł Stanisław ten urok porywający i niezwyciężony i musiał uledz, mimo wszelkich postanowień, które nadaremnie chciał wywołać do niepodobnej już walki.

— Kocham... kocham!... wykrzyknął i porwał ją za obie ręce, które wyciągnęła ku niemu.

— Kochasz mnie? — pytała niepewnym już głosem, ale pytającym, nieśmiałym lękliwym głosem prawie.

Chwila uniesienia wionęła. Konstancya była już tylko dziewczyną lękliwą, która chce słyszeć to słowo urocze, słowo przenoszące najwyższe szczęście, i lęka się go, i rada słyszeć, i ledwie śmie uwierzyć....

— Kochasz mnie Stanisławie? — powtórzyła głosem prawie do łez rozczulonym. — Powiedz!... powtórz Stanisławie!

— Kocham! kocham cię Konstancyo! kocham nad życie, nad wszystko!... kocham od dawna, od pierwszej chwili, gdy się myśli i uczucia moje rozwijać zaczęły.

— Wierzę ci mój Stanisławie! i dlatego przyszłam do ciebie po radę i ratunek.

— Tak jest Konstancyo! kocham cię!.. powtarzam to słowo, które zamknąłem w piersi mojej najświętszem postanowieniem!... powiedziałem to słowo pełne czaru, boś tego chciała Konstancyo!... ale pozwól...

— Nic nie pozwolę, mój Stanisławie! nie ma żadnego ale — odpowiedziała Konstancya głosem pełnym pieszczącej czułości. i łzę miała w oku, a uśmiech na ustach. — Oświadczyłeś się mnie, a teraz wypada żebyś się oświadczył dziadkowi memu...

— Ja, rotmistrzowi?...

— Jak sam widzisz nie ma czasu do stracenia!... jeżeli mam uciec przed miłością Moskala...

— Ale rotmistrzowi ja mam powiedzieć!... ja, który jemu winien jestem... tyle!... ja chłop, syn szewca...

— Mój Stanisławie!... gniewałabym się na ciebie, gdybym cię nie rozumiała lepiej!... Ale mnie się zdaje, że ty mój drogi, nie chcesz rozumieć, ani mego dziadka, ani twojej Konstancyi!... ani co gorzej tych chwil wielkich stanowczych, ku którym idziemy!... Czyż to dziś, stojąc u progu tej przyszłości ojczystej, której ty jesteś jednym z pierwszych pracowników, możemy tracić czas nad błahemi różnicami stanu i urodzenia!... nad temi pozostałościami czasów naszej hańby i niewoli!... Dziś jeszcze możemy chwilę poświęcić naszej miłości!... w niej czerpać będziemy siły do walki jutrzejszej!... bo jutro syn chłopa i dziecię senatorskie stanąć powinni zarówno w usiłowaniach jednych!... Podaj mi rękę kochany Stanisławie!... dziś szczęśliwi miłością!... a jutro stokroć szczęśliwsi ofiarą...

— Konstancyo najdroższa!

— To są twoje nauki!... jam twoja uczennica!... Albo chcesz może — dodała z wyrazem czystej, swobodnej wesołości — ażebym ja sama oświadczyła się dziadkowi o twoją rękę?...

— Konstancyo kochana?...

— Mogę to uczynić choćby zaraz, bo słyszę stukającą po ścieżce laskę dziadunia!... idzie do nas właśnie.

— Nie, Konstancyo! — przemówił prędko Stanisław, i przycisnął rękę narzeczonej do ust gorących — nie dziw się mi, jestem pomieszany, wzruszony!... zostaw mi czas!... ja sam pomówię!... Bądź pewna, najdroższa sercu memu, że ja tylko o twojem myślę szczęściu.

— Poczekam... ale nie długo!... pamiętaj o tem! — rzekła, podnosząc palec grożący i uśmiechnęła się do niego tak czule i wesoło, że się Stanisław mimowolnie uśmiechnąć musiał.

W tej chwili zbliżył się do nich stary rotmistrz. Spojrzał na ich twarze uśmiechnięte, i choć twarz miał zasępioną, stuknął laską o kamienny schód z wyrazem na pół żartobliwym, i przemówił rubasznie:

— To pięknie! panie i dobrodzieju!.. Asaństwo tu się śmiejecie i gwarzycie wesoło, a ja czekam i czekam na pana Stanisława...

— Ja to go zatrzymałam, by mu opowiedzieć szczęście, jakie mnie dziś spotkało ze strony całkiem niespodziewanej.

— A widziałem przez okno, jak odjechał nasz Kurlandczyk z długim nosem!

— I z koszykiem ładnym mój dziadku!

— Ale koniec końców, nie ma co żartować — mówił stary rotmistrz dalej i dlatego powołałem pana Stanisława do rady, mój panie i dobrodzieju, stary się niecierpliwi... a oni gawędzą!...

— Proszę dziadzia, i ja się także o radę pytałam pana Stanisława...

— I cóż? dałeś asindziej dobrą radę? — pytał stary rotmistrz z przyciskiem ciągle rubasznym.

— Panna Konstancya żartuje.

— Djabła tam, panie i dobrodzieju... tu nie ma żartów, z tym złodziejem Moskalem... No, chodźże teraz asindziej ze mną.

— I przyjąwszy podaną sobie z uszanowaniem przez Stanisława rękę, szedł stary ku domowi. Konstancya jeszcze została przy kapliczce. Czuła się tak jakoś szczęśliwą i spokojną w tej chwili, że uczuła potrzebę modlitwą podziękować Boskiej rodzicielce, orędowniczce swojej, do której od dziecka miała wiarę pobożną.

Gdy już nieco oddalili się, rotmistrz, obejrzawszy się raz jeszcze, przemówił cichszym głosem.

— Udawałem wesołego, by się dziewczę jeszcze więcej nie zastrąszyło, ale asindziejowi, mój panie i dobrodzieju, powiem, że bieda, panie!.. słowo waści daję, bieda... Ten przebrzydły Kurlandczyk!... wie wszystko.

— Domyśla się!...

— Ale gdzie tam!

— A chociażby... śladów nie ma żadnych i właściwe posądzenie na mnie tylko paść może... o mnie mniejsza... ja się jakoś wywinę.

— Głupiś asindziej, albo głupiego udajesz!... Najprzód mój panie i dobrodzieju, ja bym ofiary nie przyjął — mamy mospanie wisieć, to razem — a potem, czy nie znasz moskiewskiego rozumu... już nas wszystkich nie popuści sprawnik... a wreszcie... niech to będzie między nami... głupstwo się stało.

— Cóż takiego?

— Ma Moskal więcej jak ślady.

— Więcej jak ślady?

— Ma dowody!

— Dowody? jakie?

— Jak wyszedł sprawnik, chciałem zniszczyć to pismo organizacyjne, któreś mi przywiózł z Warszawy.

— Nie było jeszcze zniszczone?

— Otóż i głupstwo... właśnie było. Szukałem i nie znalazłem.

— Znikło?

— Jak kamfora... wykradł ktoś!...

— To pewnie Piotr.

— Tak i mnie się zdaje! Sprawnik przekupić go musiał.

— Ja mu zawsze nie dowierzałem.

— A przestrzegałeś mnie asindziej... hultaj zyzem patrzy! Wierzyłem mu, bom hultaja z błota wyciągnął. Lecz się już stało. Teraz trzeba myśleć o ratunku.

— Sprawnika trzeba przekupić... zobaczy grube pieniądze...

— I ja tak myślałam, ale kogo wyprawić?

— Ja sam może!...

— Nie, to djabła warto.

— Poszlę Mordka.

— Arendarza z Łaszczyniec?

— Tego samego! to zdaje się śmiały żyd.

— A więc trzeba się poradzić i szybko zdecydować. Chodź asindziej do mego pokoju.

I weszli obydwaj do domu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Złote myśli.

Miłość prawdy była i będzie zawsze panującą namiętnością twórczych umysłów, a zarazem źródłem nadzwyczajnych odmian, któremi świetnieją myśli ludzkie w umiejętnościach.

Jan Śniadecki.

*

Własną piędzią mierz się, bratku,
Od mocniejszych bądź zdaleka;
Głaszczą, pieszczą, a w ostatku
Garnka z gliny los cię czeka.

La Fontaine.

*

Kościół Chrystusów — to nie gmach z gliny,
Nie chór Lewitów, ale Duch Boży.

Antoni Edward Odyniec.

Pod maską.

Tłumaczone z angielskiego przez J. P.

(Ciąg dalszy.)

Jeżeli Bóg chciał, aby wyzdrowiała, to byłoby się to i bezemnie stało. Zgrzeszyliśmy względem nas obojga i względem Helenki, i sprawa ta nie może się nigdy dobrze skończyć.

— A ja zawiniłam najwięcej — westchnęła smutnie Janina —bo nakłoniłam cię do tego. Biedna Helenka kocha cię tak bardzo!

— Ja także żałuję jej szczerze. Cieszę się, że wyzdrowieje, ale cóż się z nami stanie?

W tejże chwili wszedł sir John do pokoju.

— No i cóż, mój zięciu, odpocząłeś trochę? — zawołał wesoło! — Bo Helenka tęskni za tobą!

I ująwszy obie ręce Artura, uścisnął je serdecznie.

— Drogi synu! — dodał wzruszony, — nie wiem doprawdy, w jaki sposób wyrazić ci moją wdzięczność za to, coś dla nas uczynił! Niech cię Bóg błogosławi!

I w obec tych słów gorących nie miał lord Chesley odwagi wypowiedzenia tego, co się w sercu jego działo!

— Zaczekam, dopóki Helenka nie będzie silniejszą, — rzekł sobie w duszy.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Dnie i tygodnie mijały, Helenka wracała do zdrowia, ale tak wolno, że Artur zawsze jeszcze nie mógł pomyśleć o wyjawieniu jej całej prawdy. A każdy dzień zdawał się zcieśniać węzły, łączące go z owem ślicznem dzieckiem. Helenka była teraz spokojna i zadowolona, gdy go widziała obok siebie i gdy trzymała jego rękę, mówiła mu nieustannie o swej wielkiej miłości i ani na chwilę nie wątpiła o tem, że i on ją kocha. Myślała jedynie o tem, aby mu się podobać i prosiła o wyrozumiałość dla swego braku doświadczenia i znajomości świata.

— Mamo — rzekła pewnego dnia do lady Marstone, jestem tak szczęśliwą! Czy sądzisz, że może nadejść czas, w którym będę żałować, że nie umarłam?

Lady Marstone uścisnęła córkę i uśmiechnęła się swobodnie, serce Artura zaś ścisnęło się bóiem i litością.

— Kocham cię — mówiła Helenka dalej, zwracając się do niego — i zdaje mi się nieraz, że całe życie jest za krótkiem, aby ci okazać moją miłość.

Słowa te męczyły go kilka dni.

Lady Marstone obserwowała pilnie młodych małżonków. Przestrzegała ona bacznie wszelkie formy towarzyskie, i ów przyspieszony ślub nigdy jej się nie podobał, pomimo, że zawdzięczała mu życie i zdrowie córki. Dziwiła się też w duszy, że lord Chesley tak mało okazywał przywiązania Helence, ale jak każda matka, nie mogła uwierzyć, aby ktoś nie kochał jej dziecka, wmówiła w siebie, że się myli, i nie myślała o tem więcej.

Słońce sierpniowe jasne zsyłało promienie na ziemię, gdy lekarz pozwolił, aby Helenkę po raz pierwszy zniesiono na dół. Biedna cieszyła się na to, jak prawdziwe dziecko, a gdy ubrana w białym szlafroczku, z rozpuszczonemi włosami, stanęła, próbując własnych sił, wtedy zdawało się matce, że na całym świecie nie może być nic piękniejszego nad tę młodziutką istotę o lekko zarumienionej twarzy i jaśniejących szczęściem szafirowych oczach.

Rozpieszczona jedynaczka większych niż kiedykolwiek doznawała z wszystkich stron objawów miłości i uwielbienia; każdy starał się wyczytać z jej oczu życzenia, a pokój, w którym obecnie najwięcej miała przebywać, zamieniono w prawdziwy ogród.

Lord Chesley miał ją naturalnie sam znieść na dół, było to jego prawem, i Helenka oświadczyła, śmiejąc się, że nie powierzy się niczyim, tylko męża silnym ramionom.

Barbara oznajmiła właśnie przybycie lorda Chesleya.

— Nie powinna panienka stać tak długo, bo to cię zmęczy — mówiła stara zaufana sługa.

Ależ Barbaro! — zawołała Helenka wesoło, — zapominasz ciągle, że nie jestem „panienką“, tylko lady Chesley, tak jak mama jest lady Marstone.

— Tak zapominam o tem! Wybacz milady.

Z ciężkiem westchnieniem zwróciła się Helenka do matki.

— Ach mamo — rzekła, — kiedyż będę wyglądała tak rozsądnie i poważnie, aby ludzie uwierzyli, że jestem mężatką! Bo teraz nikt nie chce w to wierzyć!

Lady Marstone roześmiała się głośno.

— Zdaje mi się, że idzie twój mąż — zawołała — zapytaj go o to!

Artur wszedł rzeczywiście do pokoju, a Helenka podała mu obie ręce.

— Jestem gotową — szepnęła.

Jak szczęśliwym byłby w tej chwili Artur, gdyby kochał żonę! Milcząc, objął ją silnem ramieniem, i uniósł do góry, jak dziecko.

— Ostrożnie, ostrożnie — upominała matka. — Pomyśl jaki skarb trzymasz w objęciach.

— Nic jej się nie stanie złego — odrzekł lord. Biedne dziecko lekkie, jak piórko.

Helenka uśmiechała się zadowolona i przytuliła się mocno do ukochanego. Nie przyszło jej nigdy na myśl, aby on nie kochał jej tak samo, jak ona jego.

— Dziękuję — rzekła, gdy ją na dole w salonie, ułożył wygodnie na kanapie. — Zmęczyłeś się bardzo? — Wcale nie!

— Ach powiedz, że ciężar ten był ci słodkim! — prosiła.

Artur zmieszany, spuścił głowę i odwrócił się.

— Powiedz to, powiedz — upierała się Helenka tonem rozpieszczonego dziecka.

Powtórzył więc jej słowa, ale głos jego brzmiał dziwnie, bezdźwięcznie.

— Teraz jestem zadowoloną — rzekła wesoło. — A gdzie Jania? Muszę ją zobaczyć, proszę cię, zadzwoń i każ ją przywołać.

— Pójdę jej poszukać — zawołał Artur żywo. Wiedział, jakiej przykrości doznałaby Janina, gdyby go ujrzała sam na sam z Helenką, chciał więc jej oszczędzić tego.

— Powiedz, że musi tu zaraz przyjść do mnie — dodała jeszcze Helenka — brak mi czegoś, gdy nie ma jej przy mnie.

Janina przyszła po kilku minutach, blada i drżąca.

— Artur zniósł mnie na dół — opowiadała Helenka rozpromieniona. — Ach jaki on dobry! Jak mnie kocha!

Janina odwróciła oczy, aby ukryć łzy, cisnące się do oczu.

— Wyglądasz mizernie — mówiła Helenka dalej — zmęczyłaś się zanadto pielęgnowaniem mnie, i za mało byłaś na świeżem powietrzu. Jakże mam podziękować wam wszystkim za tyle miłości i serdeczności. Nie zasłużyłam doprawdy na to!

Sir John i żona jego przyszli znowu z Arturem, a za nimi cała służba zamkowa, aby powitać ukochaną panienkę. Helenka dla każdego miała uprzejme słowo i wzruszona, dziękowała za okazywane jej przywiązanie.

Janina z robótką w ręku, usiadła przy oknie, unikając spojrzeń Artura, od którego dzień każdy zdawał ją coraz to więcej oddalać.

— Popsujesz sobie oczy — zauważyła Helenka — podziwiam też twoją cierpliwość. Jaki mozolny haft! Weź jej to Arturze, patrz, jak ona źle wygląda!

— Jeżeli jednak robótka sprawia przyjemność pannie Janinie..... — odrzekł Artur, nie wiedząc sam, co mówi.

— Czy każdy musi robić to, co mu się podoba, bez względu na to, czy postępuje źle, czy dobrze?

— Ty pytasz? — roześmiał się sir John — ty, która przez całe życie robisz tylko to, co chcesz?

Helenka zamyśliła się na chwilę i obracała machinalnie pierścionki na palcach. Nagle wyciągnęła prawą rękę.

— Patrz, Arturze — zawołała na tej ręce mam tylko pierścionek ślubny — nigdy innego obok tego nosić nie będę. Ale chciałam cię dawno już zapytać, czemu to jest inny pierścionek ślubny? Nie widziałam jeszcze takiego u nikogo!

— Nie zostawiłaś nam tyle czasu — odrzekł sir John, — abyśmy mogli wystarać się o inny, trzeba nam było wziąść pierwszy lepszy. Zdaje mi się, że Janina dała nam go.

— Doprawdy? A zatem otrzymałam pierścionek ślubny od ciebie? O, w takim razie jest on mi podwójnie drogim. Zkądże go masz?

— Należał on do ..... matki ..... brzmiała cicha odpowiedź dziewczęcia.

Nie podniosła głowy, gdy wymawiała te słowa, ale lord Chesley widział, jak twarz jej zbladła śmiertelnie. Chcąc ją więc chociaż trochę pocieszyć, rzekł do żony:

— Oddasz później ten pierścianek pannie Janinie! Miał nadzieję, że biedna zrozumie jego słowa.

— O nie — zawołała Helenka — nie rozłączę się z nim za nic w świecie! Jania musi mi go zostawić. Ale później kupisz mi inny, taki, jak mama dostała od papy, i każesz wyryć twoje imie i nazwisko, Arturze.

Janina wyszła z pokoju, lord Chesley zaś pomyślał z rozpaczą, że w obec takiej miłości, jaką mu żona okazywała, nie będzie mu pewnie możliwem uwolnić się z tych kajdan.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SZEWCZYK SZCZYGIEŁ,
konfederat.
(Szkic z przeszłości).
Skreślił Henryk Mierzeński.

(Ciąg dalszy.)

Cicho i poważnie odbywała się w kościółku msza św.; skruszone niewiasty klęcząc modliły się za swoich mężów i braci, a szczera modlitwa wznosiła się jako dym ofiarny świętych kadzideł do stóp Przedwiecznego, gdy na ziemi Lecha rozlewała się krew polska i słychać było jęki konającej w sprawie wolności braci. I świeże modły matek z jękiem uleciały do niebios, i znów obszerna ziemica polska zaczerwieniła się od krwawej posoki, a u stóp tronu Stwórcy zajaśniała piękna ognista palma męczenników, którą przyświecił ciemnej naszej doli...

Przy ołtarzu stał ksiądz Eustachy i z widocznem wzruszeniem na twarzy odprawiał bezkrwawą ofiarę Syna Bożego; na stopniach ołtarza klęczał młodziutki Piotruś, znany nam synek państwa Szczygłów i usługiwał księdzu Eustachemu do mszy świętej. Twarz miał nadzwyczaj poważną, w oczach malowało się jakieś silne postanowienie i odwaga, a na ściśniętych ustach zarysował się jakiś błogi święty spokój i wzruszenie.

Srebrny głos dzwonka ozwał się i wszyscy z czcią i skruchą pochylili głowy, i w kilka chwil potem ksiądz pleban odczytał ewangelię, i msza święta się skończyła.

Niedługo potem cicho i pusto było w kościołku — i tylko został kulawy dziadek w kruchcie i pani Wojciechowa, matka młodego Piotrusia, na stopniach opróżnionego ołtarza. Stary kulawy dziadek szeptał pacierze za pomyślność broni sławetnych mieszczan pyzdrskich i wiele zmówił zdrowaśków i litanii, aż znużony opuścił białą, pomarszczoną głowę i usnął... I piękne, przecudne sny przeszły przez tę starą, zbiedzoną głowę, a dziadek śnił, marzył i zdawało mu się, że kilka sporych krzyżyków zostawił hen tam gdzieś w tyle... Świeża, młoda krew zagrała w starych żyłach, przypomniał sobie dawne młode lata i zdawało się mu, że jak dawniej ugania po karkach moskiewskich, znosi roty, bierze w niewolę... I śnił, marzył biedny dziadek i zapomniał, że starą swą głowę na zimnej, kamiennej położył płycie.

A pani Wojciechowa klęczała u stopni ołtarza, łzy błyszczały jej w oczach, a z ust na wpół otwartych unosiła się gorąca, szczera modlitwa ku niebiosom... I widziałeś przed sobą prawdziwą Polkę — matkę, kobietę z uczuciami prostemi, nie najwykwintniej wykształconą — niewiastę mieszczankę, która prawdziwie przyjęła to szczytne zadanie Polki — matki — żony!

IV.
Rozdział nie powieściowy.

W tych kilku pobieżnie rzuconych obrazkach, zapoznaliśmy jako tako czytelnika, z niektóremi, bardziej nas obchodzić mogącemi osobami naszego obrazku; teraz urywamy na chwilę tok powieściowy, zmuszeni parę słów poświęcić ogólnemu rozpatrzeniu się w położeniu i stosunkach naszego kraju w owym wieku.

Smutny widok przedstawiała Polska w pierwszych latach drugiej połowy XVIII. stulecia. Na tronie dzielnych naszych ojców siedział gnuśny i zniewieściały Stanisław, zajęty tylko galanterją, błyskotkami i damami dworu, a ministrowie po większej części stronnicy i zausznicy carycy Katarzyny, bruździli w rządach państwa, coraz to bardziej krępując nieszczęśliwy naród ciężkiem jarzmem mongolskiem.

„Epoka ta — czytamy w żywocie J. U. Niemczewicza — był jedną z najsmutniejszych w dziejach narodu naszego. Był to jeden z momentów życia narodu, którym prawie żaden nie uszedł; owoc najczęściej obcego ciemiężenia, kiedy narody przestają być sobą, kiedy co tylko w ich łonie znajduje się najgorszego, wychodzi na jaw, staje na jego czele i daje przykład i otwiera wrota wszelkim zbrodniom i niegodziwościom.

„Takiem było panowanie trzydziestu tyranów w Atenach; trzy tryumwiraty, szczególnie ostatni, w Rzymie, i w Szwecyi po śmierci Karola XII. aż do Gustawa, we Francyi r. 1793...“

Namiestnik carycy, kniaź Repnin, wichrzył wszechwładnie w całym kraju, nieszczęśliwy naród płakał pokryjomu, patrząc jak ojczyzna chyli się ku grobowi — król weselił się, bawił na zamku wilanowskim, a wszelkie skargi, prośby i błagania gorliwych patryotów polskich, obijały się jak groch o ścianę. Na wszelkie skargi odpowiadano:

— Caryca Katarzyna II jestto wielka monarchini — a co tylko ona, książę Nikita Repnin i kniaź Repnin czynią, czynią tylko z nieprzebranej łaskawości dla Polaków — pomimo więc waszej niechęci, oporu i krnąbrności, musicie być szczęśliwi!..

Dowód jasny, widoczny i niezbity jak na talerzu.

Repnin jak najgwałtowniejszych środków używał do utwierdzenia na tronie króla Stanisława, który swoją zniewieściałością, a co większa, bezczynnością w sprawach narodu, coraz to bardziej tenże przeciwko sobie oburzał. Sybir pomnażał się nieszczęśliwymi wygnańcami polskimi, w Kałudze mnóstwo widziałeś wywiezionych patryjotów na wieczne wygnanie, a Polska stała się wówczas widownią gwałtów, mordów i bezprawi.

W takiej chwili naród otrząsnąwszy się z bezwładnego uśpienia, chwycił pełen rozpaczy za oręż i stanął w obronie brnącej w nieszczęściu ojczyzny. Była to pierwsza walka naszego narodu o wolność i niepodległość — chociaż młoda i gorąca, była jednak jeszcze płodem niedonoszonym gorliwych i myślących patryotów, i dlatego też skrewiła się w pierwszym swym młodocianym zawiązku. Gorliwy dyplomata polski ks. Adam Krasiński, pod różnemi postaciami przebiegał całą Polskę, zawiązywał tu i owdzie tajne stowarzyszenia do przyszłej, powszechnej konfederacyi, i zbliżył się ku granicy tureckiej, zkąd wyprawił wiadomość do Konstantynopola. W końcu udał się na Szląsk austryacki, ażeby się porozumieć z Austryą i zapewnić neutralność tejże, gdyby przypadkiem przyszło do wojny Turcyi z Moskwą.

Tymczasem w Polsce przyspieszono konfederacyę.

Puławski, spostrzegłszy, że gwałty i bezprawia namiestnika w Warszawie przechodzą już wszystko, że zaraźliwy wpływ Moskwy coraz to bardziej rozprzestrzenia się w kraju, postanowił bądź co bądź przyspieszenie wybuchu konfederacyi, pierwej nim zamierzał, a nawet nim przygotował środki odpowiednie, któreby śmiałemu przedsięwzięciu powodzenie zapewnić mogły. Jak zaś pojmował znaczenie ówczesnej konfederacyi, jej cel i skutki, okazał to w pięknej przemowie, którą miał do swoich synów i innych wtajemniczonych w sprawę młodzieńców.

Oto ustęp:

— Jeżeli dopniemy zamierzonego celu, staniemy się bohaterami i bohaterami niemal opiekuńczymi w wyobraźni rodaków, ale nie łudźmy się, bo gdy powodzenie nie uwieńczy naszych zamiarów, natenczas wszystkie stronnictwa połączą się przeciw nam z wściekłością, aby nas powalić i zgnieść całym ciężarem zemsty zajadłej. Zazdrość ośmielona naszemi klęskami, wyleje na nas wszystkie jady swoje, liczne i wielkie ofiary, które poniesiemy, zatrą się w pamięci ludzkiej, a zwycięztwa nawet, głośno pierwej sławione przez wielbicieli, będą niemal wymazane z kart dziejów ojczystych. Zapał wyniesie nas albo nad bogi, albo zawiść zniży do ludzi zwyczajnych...

— Oto alternatywa, która nas czeka w wielkiem przedsięwzięciu, które zamierzamy; lecz w każdym wypadku będziemy mieli za sobą świadectwo własnego sumienia, które oceni sprawiedliwie nasze czyny, i poważanie dobrze myślących obywateli, owych mężów szlachetnych i wielkodusznych, którzy wiedząc, że powodzenie zawisło najwięcej od zbiegu okoliczności — a tym nie zawsze w mocy panować -- sądzą ludzi według ich zalet rzeczywistych, usiłowania zaś, czyny i poświęcenia według powodów, jakie nimi kierowały.“

I tak w Barze, dnia 29-go lutego 1767 roku, zawiązała się konfederacya, nazwana Barską.

Józef Puławski, starosta warecki, jego synowie: Franciszek, Kazimierz i Antoni; Franciszek Krasiński, podkomorzy różański, Franciszek Potocki, wojewoda kijowski i kilkunastu z obecnej szlachty podpisali akt, potwierdzający ważność tejże.

Marszałkiem konfederacyi obranym został Michał Krasiński — hasłem tejże było: „Religia, wolność, niepodległość!“

Po całym kraju szerzono odezwy głównych przewódźców konfederacyi Barskiej do chwytania za oręż w obronie wolności ojczyzny — i równocześnie też prawie wszędzie tworzyły się większe lub mniejsze konfederacye, liczne i mniejsze oddziałki, a wszystkie prawie działające w jednym i tym samym duchu — w celu przywrócenia dawnej wolności, swobody, dawnego kwitnącego stanu ojczyzny i religii.

Z pośród takich to wypadków, ważących się na widowni politycznej w Polsce, złożyliśmy nasz obrazek — teraz wracamy do dalszego opowiadania, nie chcąc zbytnio rozszerzać uwag, nie należących do powieści. (C. d. n.)

Wiadomości.

Jeden z naszych korespondentów miasta Ostrowa donosi nam w krótkich słowach o smutnym fakcie aresztowania wydawcy „Gazety Ostrowskiej“ i właściciela księgarni, p. Witołda Leitgebra, i to za rzekome popełnienie zdrady stanu. Pan Leitgeber znany jest szerszym kołom jako ze wszech miar godny obywatel i człowiek spokojnego usposobienia, wskutek czego też nieszczęście, które go spotkało, wzbudza serdeczne współczucie.

Szanownym Czytelnikom Roździenia (Szopienic) na Górnym Śląsku zwracamy uwagę na to, że u rodaka naszego i druha, p. Karola Pronobisa, kupca tamże — otworzyliśmy agenturę „Pracy“. Każdy nowoprzybyły abonent Roździenia i okolicy niech zatem zamówi sobie „Pracę“ w składzie p. Pronobisa.

Zarazem też polecamy rodaka naszego tamtejszej i okolicznej publiczności polskiej. Niech grosz polski w pocie czoła krwawo zapracowany idzie *do swego*, a wtenczas będziemy silni!

Szanowni Przemysłowcy! Baczność! Druki nowych statutów cechowych dla wszystkich cechów przyjmuje drukarnia „Pracy“ po cenach jak najtańszych tylko jeszcze tydzień. Później cena ta znacznie się podroży. Zwracamy w tej sprawie baczną uwagę Szanownym Panom Cechmistrzom na odnośny inserat.

Kalendarz Brazylijski już wyczerpany, o czem donosimy Czytelnikom.

Wszystkich tych Czytelników, którzy reklamują u nas zaległe numera „Pracy“, upraszamy o przysłanie na porto znaczka listowego dziesięciofenygowego.

Premią, mianowicie „Kalendarz Maryański na rok 1900“, otrzymają tylko ci Czytelnicy, którzy nam nadeślą prócz własnego kwitu abonamentowego także na dowód kwit nowego zjednanego abonenta i to kwit z bieżącego miesiąca, a nie z datą starszą.

Do skompletowania kwartalników „Pracy“ potrzebne nam są numera: 47-y z r. z. i 1-y 2-gi, 3-ci, 4-ty, 5-ty i 6-y z roku bieżącego, o których nadesłanie upraszamy niniejszem naszych Czytelników, za co im się wywdzięczymy w inny sposób.

Agenturę „Pracy“ na miasto Bruch w Westfalii i okolicę otworzyliśmy w Bruchu u pana Wojciecha Chwiłkowskiego, prezesa Towarzystwa św. Michała — Hillerheide nr. 16 III, na co zwracamy baczną uwagę Czytelnikom Bruchu i okolicy. U p. Chwiłkowskiego można zaabonować „Pracę“ od każdego czasu.

Walne zgromadzenie Tow. Czytelni dla kobiet odbędzie się w dniu 19-go lutego 1900 roku o godzinie 5-tej punktualnie w mieszkaniu naszem przy ulicy Wiedeńskiej nr. 10. Porządek obrad: 1) Zagajenie. 2) Wybór przewodniczącej oraz sekretarki Walnego Zgromadzenia. 3) Odczytanie protokułów z ostatniego rocznego, oraz z ostatniego nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia. 4) Sprawozdanie Zarządu: a) sekretarek, b) skarbniczki, c) opiekunek biblioteki. 5) Wybór Zarządu. 6) Wybór reszty Wydziału. 7) Wnioski członków.

Zarząd.

Celem powzięcia uchwały nad założeniem poznańskiego związku prowincyonalnego ku zwalczaniu gruźlicy jako choroby ludowej odbędzie się ogólne zebranie w sobotę, dnia 3 marca 1900 roku o godzinie 8¼ wieczorem na wielkiej sali teatru „Apollo“ (dawniej sala Lamberta) w Poznaniu, ulica Piekary 15/17.

Wyborne gatunki cygar, papierosów oraz tytuni tureckich i rosyjskich poleca tak po cenie hurtownej jak też detalicznej p. T. Łaganowski w Poznaniu, Chwaliszewo nr. 2. Panom palaczom i lubownikom dobrych cygar i papierosów zwracamy uwagę na skład naszego przedsiębiorczego rodaka, odsyłając ich po bliższe szczegóły do inseratu zamieszczanego stale w dziale ogłoszeń z nadmienieniem, że p. Łaganowski zasługuje ze wszech miar na rzetelne poparcie.

Pan Dr. Smoliński, lekarz praktyczny, chirurg i akuszer, dawniej w Tarnowie zamieszkały, osiedlił się na Wildzie przy ul. ks. następcy tronu nr. 110, na co zwracamy baczną uwagę Szanownym Czytelnikom Wildy, sąsiednich przedmieść i okolicy. Przyjmuje chorych w domu od 8—10 przed południem i od 2—4 po południu, a po za temi godzinami odwiedza chorych po za domem.

Czy istnieje w Poznańskiem, Galicyi lub Kongresówce polska fabryka powideł ze śliwek? Prosimy o łaskawą odpowiedź pod adresem Redakcyi.

Krobia. Towarzystwo tutejsze przemysłowe urządza w niedzielę, dnia 25-go lutego r. b. przedstawienie amatorskie. Odegranem będzie: „Podrzutek czyli zemsta dokonana“. Na przedstawienie to zaprasza uprzejmie Szanowną Publiczność miasta i okolicy.

Zarząd.

Wielichowo. Towarzystwo tutejsze przemysłowe urządza dnia 26-go b. m. na sali p. Paetzolda wieczorek towarzyski na cel dobroczynny. Program bardzo urozmaicony. Dwa monologi i wszystkie żywe obrazy wzięte będą z „Pracy“ z roku 1898. Po przedstawieniu tańce. Początek o godz. 7-mej wieczorem.

Czarnków. Tutejsze Towarzystwo przemysłowo-rolnicze urządza na cel dobroczynny dnia 25-go b. m. na sali p. Łaszewskiego teatr amatorski. Program jest następujący: „Bzy kwitną“, komedya w 1-ym akcie przez Z. Przybylskiego, Japoński taniec wachlarzowy, „Werbel domowy“, obrazek wiejski ze śpiewami i tańcami i żywy obraz „Troska i nadzieja“. Początek przedstawienia o godz. 7½ zabawa z tańcami.

Wągrówiec, dnia 12 2. roku 1900. Kamienica pana Michałkiewicza w mieście naszem zostanie sprzedaną na subhaście dnia 25 lutego; kamienica jest w dobrem położeniu w rynku, jedyny polski hotel i sala do przedstawień teatralnych i zbiorowisko polskich Towarzystw. Nieruchomość tę mają zamiar kupić hakatyści. Wartość 50,000 marek. Dochód z dzierżawy 2,700 mk.

Wobec powyższego kamienicę tę nabyć powinien koniecznie Polak. — Przyp. Red.

Racibórz (Górny Slązk.) Pozdrowienie z zabawy zapustnej przesyła Kółko śpiewackie. Podpisy.

Bóg zapłać za pamięć. Red. „Pracy.“

Roździeń (Górny Slązk). Baczność! Towarzystwo gimnastyczne Sokół odbędzie swoje zebranie miesięczne w niedzielę, dnia 18-go b. m. na sali p. Reicha o godzinie 2-ej po południu. O udział jak najliczniejszy druhów uprasza Zarząd. Czołem! *Wydział.*

Śluby. Dnia 6-go b. m. pobłogosławiony został w kościele św. Marcina w Poznaniu związek małżeński pomiędzy panną Waszyńską, córką nauczyciela szkoły średniej z Poznania, a p. Stanisławem Koszczyńskim z Nowej wsi. — W kościele parafialnym w Głuszynie pod Poznaniem pobłogosławiony został dnia 30-go z. m. związek małżeński pomiędzy panną Agnieszką Paszkiewiczówną, córką pani Paszkiewiczowej z Garaszewa, a p. Józefem Heigelmannem z Minikowa.

„Szczęść Boże!“ młodym parom.

Złote wesela. Złote wesele obchodził w Pleszewie radca miejski, p. Józef Pomorski z małżonką. Landrat Roël wręczył jubilatom złoty medal nadesłany im przez cesarza. — Złote wesele obchodził były długoletni rządca gospodarczy w Dobrogościcach, obecnie mieszkający w Gniewkowicach na Kujawach, p. J. Kaszewski z swą godną małżonką dnia 3 lutego w kościele parafialnym w Tucznie. „Szczęść Boże!“ złotym parom.

Od Redakcyi.

Panu M. S. 2. donosimy, iż bilans Banku tego jest, jak się sami przekonaliśmy w robocie i niezadługo publicznie ogłoszonym a niezawodnie i Panu przesłanym będzie. Bank ten ma czas do ogłoszenia bilansu aż do lipca rb.

Podług surowego zestawienia bilansu za rok 1899 było ult. grudnia r. z. 679 członków z 1499 udziałami co przedstawia:

1499 razy 50 74,950 m. udziałów
1499 razy 200 299,800 m. suma gwaranc.
384,750 m. wartość Banku.
do tego dochodzi circa 80,000 m. rezerw.

Jeżeli się zważy, że instytucya w trzech latach osięgła tak pokaźną sumę rezerw, toć pewnie wystarczy za dowód, że znakomicie prosperuje. W portefelu jest zaś 400,000 m. pierwszomiejscowych hypotek. Nie jesteśmy w stanie wszystkiego na prędce opisać, lecz bilans, który w tych dniach w gazetach ogłoszony będzie, okaże wszystko. Trzeba bowiem rozróżnić instytucyą obracającą rocznie około 8 milionów, a taką, która może ledwo $^1/_{10}$ tego w roku obrócić.

Co do kasy oszczędności wystarczy pewnie Szan. Panu, że ta instytucya na pokrycie depozytów ma **pierwszomiejscowe** hipoteki, podczas gdy inne instytucye na wekslach spoczywają.

Możemy więc „Bank Parcelacyjny w Poznaniu Piekary nr. 17“ na mocy opinii ogółu i własnego przekonania sumiennie polecić jako instytucyą poważną, przezorną i uczciwą, zasługującą na wszelkie zaufanie.

Książki w księgarni Leitgebra w Poznaniu.

Do Ostrowa. Dziękujemy za wiadomość, która nas bardzo zasmuciła.

Rozdzień pp.: Pronobis i Baduski. Serdeczne Bóg zapłać za tak żywy dowód szczerej przyjaźni i życzliwości. Skromny upominek, wysłany w podzięce tam dotąd, niech będzie wymownym dowodem, jak serdecznie miłą nam była niespodzianka przez Szanownych Panów zgotowana.

Dopóki Górny Slązk opierać się będzie na tak wiernych synach Polski, — dopóty język polski niezaginie i sprawa nasza górą! Raz jeszcze serdeczne „Bóg zapłać“.

Panu J. Laskowskiemu w Nowem w Pr. Zach. Numer 3 zupełnie wyczerpany.

Panu W. Weichanowi w Berlinie. Za nieregularne dostarczanie „Pracy“ winna jest jedynie poczta. Prosimy na tamtejszej poczcie się zażalić, gdyż tutaj wysyłamy pismo na pocztę jak najregularniej.

Panu Winc. Janickiemu w Wadowicach, Galicya. Przyjaciel Pański złożył za Niego prenumeratę kwartalną. Nazwiska swego prosi nie wymieniać.

Panu K. Czap. w Wielu w Pr. Zach. Nr. żądany niestety wyczerpany.

Panu Andrickiemu w R. G. Slązk. Za nadesłane nam numery serdecznie dziękujemy.

Panu P. Słomianemu w Nowej wsi G. Slązk. Serdeczne „Bóg zapłać“ za nadesłanie nam numerów 51, 52 i 2-go.

Panu A. J. w P. Za ocenę specyalną prac konkursowych bardzo dziękujemy. Co do artykułów „O drenowaniu“, to teraz drenowanie zamarzło, a z niem i Jego artykuły — trudno je na razie odtajać, bo brak węgli.

Panu Jerzemu W. Zamieścimy, ale później. „Czytelnia polska“ w Krakowie przestała wychodzić. „Teka“ wychodzi we Lwowie. Co do marki na list, to poinformuje Pana każda poczta tamtejsza. Co do post scriptum — to w tej sprawie żadnej informacyi nie możemy udzielić.

Panu J. w Erfurcie. Za adres dr. P. serdecznie dziękujemy.

Zarządowi Dóbr Komorówka w Galicyi i panu J. Kazubowskiemu w Heidelbergu. Numer gwiazdkowy (52) z r. z. już wyczerpany zupełnie.

Panu W. Fyrstowi w Berlinie. W księgarni Tempłowicza w Poznaniu, hotel Francuzki, z powołaniem się na „Pracę“.

Panom Lewandowskiemu w Bydgoszczy i Buchholzowi w Wormditt (Pr. Wschodnie). Numer „Pracy“ z dnia 14 stycznia na razie wyczerpany.

Panu B. K. w Wrocławiu. Prosimy o nadesłanie 1,70 mk., a wysyłać będziemy pod opaską.

Panu M. C. w Suminu w Pr. Zach. Poczta poznańska otrzymuje regularnie od nas „Pracę“ — pierwszy transport już w czwartek po południu, a ostatni w piątek przed południem, „Pracę“ zatem nawet w najdalszych stronach w kraju powinna poczta dostarczyć Czytelnikom najpóźniej w każdą niedzielę rano. Prosimy się zażalić na miejscowej poczcie.

Wielebnemu ks. Kasperlikowi w Skoczewie, Ślązk austryacki i p. Tabińskiemu w Moszczenicy, Galicya. Serdecznie dziękujemy za nadesłanie nam brakujących numerów „Pracy“.

Panu Emanuelowi P. w Starejwsi, G. Ś. Nie otrzymaliśmy, z pewnością zaginął list na poczcie.

F. A. W. Na końcu kwartału, więc „Zgoda i Praca!“

Panu Fr. M. w Śremie. Na życzenie bardzo wielu Czytelników zaniechać musieliśmy dalszego zamieszczania. Słuszne było poniekąd ich zdanie, że takie rzeczy zawarte w suchych paragrafach mogą przeważnie interesować — tylko prawników.

Imci ks. J. B. w R. Dołączamy regularnie — muszą ginąć na poczcie.

Jaśnie Wielmożnej pani Cecylii z Szeliskich hr. Kalinowskiej, Czeremuszne, Galicya. Najuprzejmiej dziękujemy.

Panu P. J. w Krzywiniu. Poinformuje Pana w tej sprawie każdy hodowca i amator kanarków.

Pilnej Czytelniczce „Pracy“ w Śremie. Dziś zamieszczamy i nadal stale zamieszczać będziemy.

S. W. M. Krobia. Księgarnia taka w Poznaniu nie istnieje. Polecamy księgarnią J. Leitgebra i Sp. Adres odnośny brzmi tak: „Tygodnik Illustrowany“, Warszawa, Krakowskie Przedmieście Nr. 17.

Panu Michałowi D. w Gostyniu. Jestto sprawa osobista, prywatna, którą Pan tylko możesz załatwić na drodze prywatnej.

Panu J. K. w Łopiennie. Notatka doszła nas zapóźno już po wydrukowaniu numeru na dzień 28 stycznia, więc zamieścić jej nie mogliśmy.